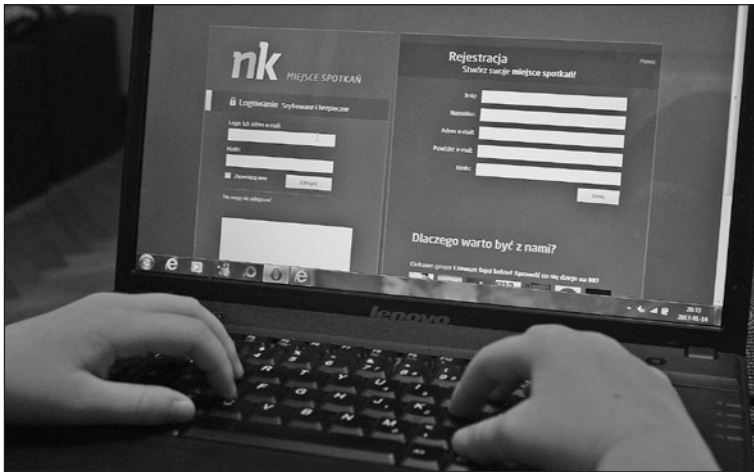




Miesięcznik Młodzieżowej Wszechnicy Dziennikarskiej
wydawany dzięki dotacji Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego Wrocławia

Loguj się i pisz

Duża część społeczeństwa, mająca kiedyś profil na Naszej-Klasie, dzisiaj przesiaduje na Facebooku, a o wcześniejszym portalu kompletnie zapomniała. Znajdują się jednak osoby, które cały czas tam są i bynajmniej się nie nudzą. Sprawdzają wiadomości, komentują zdjęcia i... piszą rozmaite historie.



Fot. Paulina Pawlak

– Wszystko zależy od tego, czy mam dobry humor, wenę twórczą i czas – mówi Klaudia, uczennica pierwszej klasy liceum. Historię z Naszą-Klasą zaczęła pod koniec podstawówki, kiedy naszła moda na zakładanie kont.

– Nie chciałam odstawać od reszty, więc i ja w końcu pojawiłam się w Internecie – mówi. – Na początku pod swoim nazwiskiem, bo innej możliwości jeszcze nie znałam.

Skąd więc dowiedziała się o fikcji? Od przyjaciółki. Wspomina, kiedy to po raz pierwszy zaistniała w sieci jako Joanna.

– Doskonale pamiętam nazwę, jaką wymyśliła mi koleżanka, dzięki której ludzie zaczęli mnie zapraszać do grona znajomych. „Będę Twoją fantazją”. Jak na trzynastoletnią dziewczynę, były to odważne słowa, ale usłyszałam, że inaczej z nikim nie popiszę.

Na czym polega ten wirtualny świat, w którym liczna część młodego społeczeństwa siedzi i stuka w klawiaturę? Licealistka odpowiada od razu.

– Na pisaniu historii. Cały proces wygląda następująco. Rejestrujemy się, logujemy, tworzymy profil postaci, opisujemy

ją. Potem szukamy dla siebie odpowiednich grup i zapraszamy, oczywiście po zapoznaniu z regulaminem, innego użytkownika. Kiedy przyjmie zaproszenie, musimy opowiedzieć o jego profilu początek opowiadania, które chcemy stworzyć. Druga osoba czyta nasz tekst i odpisuje na niego z perspektywy swojej postaci oraz dodaje rozwinięcie akcji.

Klaudia opowiada o zasadach, które powinny być znane każdemu, kto angażuje się w fikcję i chce dobrze w niej wypaść. Skąd zaczerpnąć tę wiedzę?

– Wystarczy wybrać jeden z profili znajdujących się w grupie

„kreatywność”. Ludzie podający się za wybitne jednostki, powinni określić, czego oczekują i kogo reprezentują – odpowiada z uśmiechem. – Do tego są rubryki: o sobie i moje aktualne zajęcia. W tej pierwszej jest opis postaci, by jakiś Harry Potter nie zapraszał wampira ze „Zmierzchu”, albo by prostytutka na siłę nie próbowała rozmawiać z nauczycielką.

Wspomina czasy, kiedy sama uczyła się zasad i wypisywała je na profilu w myśl, że im więcej i z wieloma ozdobnikami, tym lepiej. Kiedy zaczęła się jej historia z prawdziwą kreatywnością, komentarzami na kilka tysięcy znaków i pięknym językiem? Na początku trzeciej klasy gimnazjum. Zauważyła różnicę pomiędzy komentarzami na wcześniejszych stronach, a tymi, które pisze obecnie.

– Kiedyś ograniczałam się jedynie do „Hej, co tam?”, a za-

sady miałam w nosie. Teraz nie wierzę, że mogłam pisać tak skąpo i bez przestrzegania reguł. Zapraszasz – piszesz, kreatywność, selekcja, stop kopii, zero Emo i Disneya (czyli nieprzyjmowanie wszystkich zaproszeń), wszystkie te zasady są dzisiaj dla mnie tak oczywiste, że wykroczenie lub złamanie ich strasznie mnie burzy. Wprawdzie na moim aktualnym koncie nie mam wypisanych ich wszystkich, ale reprezentuję całokształtem taki profil, po którym widać, czego oczekuję. Długo pracowałam na ten efekt.

Klaudia przyznaje, że jest wiele radości z pisania i można spotkać wspaniałe osoby, ale trzeba znaleźć umiar oraz czas na obowiązki szkolne i domowe.

– Wszystko jest dla ludzi, ale pisanie opowiadań nie pomoże zdać do następnej klasy i zarobić pieniędzy.

Jaki wniosek? Niech tworzą się nowe postacie, przeżywają wspaniałe historie, ale z daleka od prawdziwego życia, w którym na obiad nie dostaje się pikantnego romansu tylko ziemniaki z kapustą.

MONIKA ŚWIĄTEK
monia_swiatek@o2.pl

Nadzwyczajni

O tym, jak zostać rycerzem i co zrobić, żeby obyć się bez poważnej kontuzji podczas turniejów, opowiada FILIP BILIŃSKI, współczesny amator średniowiecznych walk.

▶ **Patrzę na Ciebie i widzę: wszystkie palce, ręce i nogi w całości, głowa bez szram... To możliwe?**

– Oczywiście! Walka nie jest taka groźna, na jaką wygląda. Wszyscy wyposażeni w zbroje mogą być pewni, że nic nie powinno się im przydarzyć. Choć walczą różne osoby. Jeśli adrenalina uderzy, albo gdy ktoś

jest bardzo zacięty, to można porządnie oberwać. Kontuzje się zdarzają, ale to głównie rozcięcia na rękach, powierzchowne rany.

▶ **Bóg, honor i ojczyzna to wartości, które wyznawał każdy szanujący się rycerz. Czym się kierowałeś, wstępując do bractwa rycerskiego?**

– Epoką. Średniowieczem interesowałem się dużo wcześniej, właściwie od zawsze. Na początku oglądałem filmy na ten temat, później czytałem fantasy, bo działają na wyobraźnię. Wszystkie te potwory, mity, walki... A do rycerstwa trafiłem przez mojego brata, który zabrał mnie na spotkanie nadzwyczajnych. Jednorazowe uczestnictwo w zjeździe zdecydowało. Zostałem jednym z nich.

▶ **Nadzwyczajnych?**

– Rycerz nie był przecież pospolitym człowiekiem, a obrońcą słabych i pokrzywdzonych. Kiedyś w bractwach szkolono rycerzy pod względem fizycznym i intelektualnym, wpajano im kodeks postępowania, etykę. Nic zatem dziwnego, że takimi ludźmi fascynujemy się do dziś.

▶ **Nie chodzi tylko o okładanie się żelastwem?**

– Najważniejsza w ruchu rycerskim jest klarowność zasad i prawdomówność. Staramy się postępować fair play w życiu co-

dziennym. Obowiązuje nas też reguła, że wszelkie spory między rycerzami mają ustać przed zachodem słońca. Trudno o to w dzisiejszym świecie, ale nam się udaje.

▶ **Na forum www.freha.pl przeczytałam: „Po pierwsze zapomnij o bułkach i słodyczach na przerwie, piątkowych melanżach i wydatkach. Każdą kasę pompujesz w sprzęt”. Naprawdę tyle w to wkładacie?**

– Na początku chodzi przede wszystkim o wczucie się w klimat. Kogo nie stać na zbroję, zawsze może zaopatrzyć się w strój cywilny. My staramy się jak najmniej inwestować. Co tylko się da, szujemy samodzielnie, z wykrojów. Uważam, że nasze lniane koszule, wzorowane na średniowiecznych, w niczym nie ustępują tym od Armani. I są stosunkowo niedrogie. Oczywiście, wchodząc w rycerstwo, poznaje się różne osoby, które podpowiedzą, gdzie co kupić, żeby wyszło najtaniej.

▶ **Bijecie się prawdziwymi mieczami. Obowiązują was jakieś zasady?**

– Nie tylko mieczami. Walczy się od broni obuchowej, toporów dwuręcznych, mieczy dwuręcznych do halabard. A co do walki, to leje się, ile wlezie (śmiech). Ale nie ma pchnięć mieczem, czyli



uderzania na wprost. Dla większego bezpieczeństwa krawędzie broni są zaokrąglone. Porządku podczas turniejów pilnują sędziowie, którzy ostrzegają, jeśli walczy się nieczysto. Mimo wszystko lepiej mieć zbroję robioną na siebie, nie pożyczoną, bo o kontuzję łatwo.

▶ **Braliście już udział w inscenizacji bitwy pod Grunwaldem?**

– Jeszcze nie, ale przypuszczam, że to tylko kwestia czasu. Pochwalę się za to, że jesteśmy zapraszani do szkół na lekcje „żywej” historii.

▶ **Tak podsumowując – co zrobić, żeby zostać rycerzem?**

– Wydaje mi się, że zwykły, szary człowieczek, który nie

wie za dużo o rycerstwie i nie interesuje się historią, tylko zobaczył walki na jakimś turnieju i chce spróbować, nie poczuje tego klimatu. Życie w obozie jest zupełnie inne. Samo tworzenie średniowiecza, tej otoczki, w tym tkwi cała zabawa. Bitwa jest tylko punktem kulminacyjnym. Oczywiście, że wielu rycerzy po prostu lubi się bić. Ale i oni studiują dawne traktaty i dociekają, jak posługiwano się mieczem. Jeżeli jesteście gotowi stawić czoła średniowiecznej kulturze i lubicie rywalizację, zapraszam do naszego bractwa.

– Dziękuję za rozmowę.

ALICJA PIELICHOWSKA
alicja.pielichowska@o2.pl



Okiem
RecenzentaUtracone
człowieczeństwoJOSÉ SARAMAGO
LAUREAT LITERACKIEJ NAGRODY NOBLA

„Skoro nie możemy żyć jak ludzie, postarajmy się przynajmniej nie żyć jak zwierzęta”.

Nagle, na nienazwane miasto w nienazwanym kraju spada epidemia białej ślepoty. Dotyka po kolei wszystkich: młodych, starych, kobiety, dzieci, zbrodniarzy, zmieniając diametralnie ich życie. Aby powstrzymać rozprzestrzenianie się zarazy, pierwsza grupa ślepców zostaje odizolowana i zamknięta w starym szpitalu psychiatrycznym. Tak zaczyna się historia bohaterów opisanych w książce **MIASTO ŚLEPCÓW** przez portugalskiego pisarza, laureata literackiej nagrody Nobla José Saramago.

Odizolowani są skazani tylko na siebie. Ślepotą czyni ich anonimowymi. W powieści nie pada ani jedno imię, a postacie są opisywane tak samo, jak się wzajemnie poznawały. I tak bohaterami są między innymi lekarz, jego żona, dziewczyna w ciemnych okularach czy stary człowiek z opaską na oku. Początkowo grupa pomaga sobie i przestrzega ustalonych zasad. Trwa to do czasu, kiedy przestano dostarczać im regularnie żywność. W każdym budzi się pierwotny instynkt przetrwania i ztracają swe człowieczeństwo. Wyłaniają się grupy rządzących i tych podporządkowanych. Toczy się brutalna, zwierzęca walka o przetrwanie. Ludzie, zyskując anonimowość, robią rzeczy, których nigdy nie zrobiliby przed epidemią.

Saramago stosuje tylko dwa rodzaje znaków interpunkcyjnych: przecinki i kropki. W powieści nie ma wydzielonych dialogów, a całość napisana jest jednym ciągiem.

Biorąc tę książkę do ręki, trzeba być nastawionym na estetyczny szok. Nie przypadnie też do gustu każdemu. Wymaga bowiem od czytelnika skupienia i refleksji. Nie ma tu niedopowiedzeń, a wszystko przedstawione jest bezpośrednio i bez wątpliwości. Nie brak tu wstrząsających opisów korytarzy tonących w fekaljach, gwałtów czy gnijących ludzkich zwłok. Powieść ukazuje, że w obliczu zagłady wszelkie zasady i prawa moralne stają się nieistotne, a człowiek zaczyna zachowywać się jak zwierzę, wyznając zasadę, że przetrwa najsilniejszy.

MARIA URSEL
maria.ursel
@wp.pl



Pokło(sie)nów dla kłamstwa nie będzie

Chciałbym uspokoić Zuzannę Stręk, autorkę felietonu „Polak Polakowi nierówny” z grudniowego „Szlifu”, że nie musi się obawiać funkcjonariuszy państwowych. Co więcej, zamiast pozbawienia praw publicznych, może prędzej spodziewać się listu pochwalnego. Trudno, żeby państwo prześladowało obywateli za obejrzenie filmu, który samo wsparło... trzema i pół milionami złotych.

Sfinansowane częściowo z naszych podatków „Pokłosie” reklamowane było jako „obraz oparty na faktach”. Nic dziwnego, że czarno-biały przekaz o relacjach polsko-żydowskich wywołał burzę. Twórcy produkcji zarzekając się, że nie jest to film historyczny, jednocześnie mówią o „ponurych kartach naszej przeszłości” i „konieczności rozliczenia z nimi”. Sami przyznają, że sceny i bohaterowie mają swoje pierwowzory w rzeczywistości. Autorzy wykorzystali jednak tylko pasujące im wybrane fragmenty historii, klejąc z tego obraz zionących nienawiścią i antysemityzmem Polaków.

Filmowy bohater Józef Kalina (Maciej Stuhr), tak samo jak historyk, działacz społeczny z Brańska, Zbigniew Romaniuk, zbierał i odczytywał okoliczne macewy, także spotykał się z nieprzychylnymi głosami na temat tego, co robi. Zdarzyło się, że koło drzwi wejściowych namalowano mu gwiazdy Dawida. Co się więc nie zgadza? Otóż w filmie w konsekwencji Kalina zostaje ukrzyżowany, a jego protoplasta, pan Romaniuk, choć sam przyznaje, że nie było łatwo, zostaje radnym gminy i pełni dziś rolę jej sekretarza. Co więcej, w Brańsku jest czternastu „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata”, co stawia miasteczko w roli światowego

rekordzisty pod względem liczby otrzymanych odznaczeń.

Reszta historii ma przypominać pogrom w Jedwabnem, wobec którego notabene nadal nie ma zgody wśród historyków i zostało sporo niewyjaśnionych kwestii. Mimo to w „Pokłosiu” cała sytuacja jest jasna – Polacy motywowani skrajnie prymitywną formą antysemityzmu typu „Oni zabili Jezusa” oraz chęcią posiadania majątku mordują bestialsko Żydów, właściwie bez udziału Niemców.

Geneza konfliktów między narodami zarówno w filmie, jak i w felietonie została spłaszczona i zafalszowana, a wszak wiadomo, że pół prawdy to całe kłamstwo. Problem jest dużo głębszy niż posiadanie „NASZEJ ziemi” przez Żydów. Polacy pamiętali, z jaką radością „naród wybrany” witał wkraczającą do nas Armię Czerwoną, którą też gromadnie zasilali. Były nawet przypadki mordów. Mało kto o tym słyszał, ale pod wpływem komunistycznej agitki ludność głównie żydowska i białoruska rozpoczęła zabijanie naszych rodaków w miasteczku Skidel. Wydarzenia te określa się antypolskim powstaniem skidel-skim.

Nastroje wokół „Poklosia” rzeczywiście mogą być „niezrozumiałe”, jeśli skupimy się tylko na zarzutach wobec Macieja Stuh-

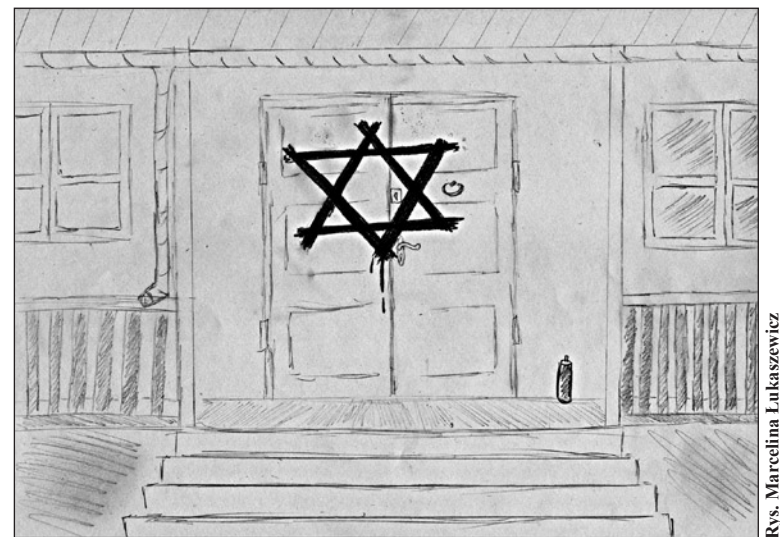
ra i nazywaniu go Żydem przez internautów. Postawa młodego aktora jednak nie jest tu najistotniejsza. Wspomniany historyk, Zbigniew Romaniuk uważa, że „temat filmu został odrealniony”. Docenia za to „odwagę twórców i dobrą grę aktorską Ireneusza Czopa” (pełna wypowiedź na forum gazeta.pl, autentyczność potwierdzona u autora).

Wracając do felietonu w „Szlifie” – czy Autorka, która zarzuca Polakom uciekanie od niewygodnych tematów naszej historii i roszczeniową postawę wobec innych narodów, wyobraża sobie film finansowany przez państwową instytucję Izraela na temat choćby Judenratów, Żag-

wi czy masakry w Koniuchach i Nalibokach? Nie dajmy sobie przypiąć łatki antysemitów. Pamiętajmy, że podczas II wojny światowej tylko w Polsce i na Ukrainie za pomoc Żydom karano śmiercią całą rodzinę. Mimo to życie swoje i bliskich narażono od 0,5 do 1 miliona rodaków. Ponad 6,3 tysiąca medali, czyli 25 procent „Sprawiedliwych”, należy do Polaków. Film Pasikowskiego i felieton Zuzanny Stręk wpisuje się w narzucaną przez władze i media historyczną politykę wstydu, która nawet w święta narodowe niczym karzący głos z góry przypomina, że powinieneś się wstydzić rodaka za na przykład wydumany antysemityzm NSZ.

PS. Jacy obrońcy ojczyzny, według Autorki, rzucają w innych krzyżami?

SZYMON BENIUK
szymor8@interia



Rys. Marcelina Lukaszewicz

Ghana okiem salezjanki

Młoda, pełna energii, a przede wszystkim zdeterminowana, aby pomagać. Taka jest Paula Łuszczek – młoda członkini Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego Młodzi Świata we Wrocławiu.

Przygoda Pauli z wolontariatem rozpoczęła się dość wcześnie. Już w liceum dwukrotnie wyjeżdżała na Syberię, gdzie opiekowała się dziećmi polskich zesłańców.

– Nie były to długie wyjazdy, trwały tylko miesiąc. Dzięki nim jednak zrozumiałam, że to jest właśnie moja droga – mówi.

Mając już pewne doświadczenie, zaczęła realizować poważniejsze projekty. Po pierwszym roku studiów wzięła urlop dziekański i wyjechała do Ghany. Tam pracowała w domu dla chłopców ulicy Don Bosco Boys Home w Sunyani. Pomagała im w nauce, organizowała gry i zabawy, a wieczorem opowiadała bajki na dobranoc. Otaczała ich przy tym miłością i troską, której bardzo potrzebowali.

– Do moich zadań należało stałe przebywanie z chłopcami. Towarzyszyłam im w ciężkim okresie, jakim jest dorastanie, aby po trudnym dzieciństwie mogli rozpocząć odpowiedzialne, dorosłe życie. Oprócz tego zajmowałam się pomocą medyczną.

Zdarzało się, że podopieczni przychodzili do mnie i zwyczajnie symulowali, starając się w ten sposób zwrócić na siebie uwagę – opowiada.

Ten wyjazd wymagał od Pauli wielu wyrzeczeń. Wolontariuszka wykazała się ogromną wytrzymałością. Dużą zmianą był dla niej zupełnie odmienny klimat. W Ghanie panuje znacznie wyższa wilgotność, stąd też początkowo

ciągle czuła się mokra. Nie zniechęciły jej kąpiele w wiadrze, węże ani komary przenoszące choroby. Malarie przechodziła trzy razy.

– Podczas choroby miałam największy kryzys. Obawiałam się, że nie dam rady dłużej tam zostać – mówi.

Okazała się jednak na tyle silna, że przetrwała straszliwą gorączkę. Gdy ciężki okres minął, w dalszym ciągu poznawała afry-

kańską kulturę. Teraz z uśmiechem na twarzy wspomina o panujących tam zwyczajach.

– Na urodziny, zgodnie z tradycją, zamiast prezentów dostawałam na głowę siedem wiader lodowatej wody – śmieje się.

Z czasem przyzwyczała się również do zupełnie odmiennej kuchni i jedzenia rękami.

– Moją ulubioną potrawą było fu-fu. To takie papko-ciasto bez smaku, które je się z zupą. Najbardziej smakowała mi groundnut, czyli zupa z orzeszków ziemnych – wspomina.

Paula w najmniejszym stopniu nie żałuje decyzji o podjęciu misji. Wręcz przeciwnie.

– Taki wyjazd zmienia. To wszystko, z czym się spotykamy w tych odległych zakątkach świata. Każdy spotkany tam człowiek i dzielenie się miłością z tymi najbardziej potrzebującymi pozwala po powrocie docenić to, co otrzymaliśmy od Boga i szerzej patrzeć na codzienną rzeczywistość – podsumowuje.

Wszystkich zainteresowanych zachęca i zaprasza na stronę www.wroclaw.swm.pl. Kto wie, może właśnie SWM będzie dla niektórych załączkiem swojego powołania?

JUSTYNA STRZEBAK
justynastrzebak
@hotmail.com



Fot. Paula Łuszczek

Osiemnaście RTG

Dusznosci. Zawroty głowy. Ból w klatce piersiowej i odcinku lędźwiowym. Potworny ból. Omdlenia. Trudności z oddychaniem. Opuszczanie lekcji i wiele badań. Mam na imię Natalia i od siedmiu lat walczę z Scheuermannem.

Wszystko zaczęło się w szóstej klasie szkoły podstawowej. Lekcja wychowania fizycznego nieróżniąc się niczym od innych. Biegi na ocenę po wrocławskim parku Południowym – każdy chciał się w jakiś sposób wymigać od tego. Mnie się udało.

Biegnij dalej

– krzyczały do mnie nauczycielki. Lecz nie mogłam. Ból w odcinku lędźwiowym kręgosłupa był tak potworny, że nie dałam rady zrobić kroku. Usiadłam na ziemi. Jakiś czas potem znalazłam się w domu, gdzie babcia ratowała mnie okładami. Wydawało mi się, że ból mija, że to tylko przemęczenie. Jednak myliłam się.

Następny, proszę

Zaczyna się gonitwa po lekarzach. Opuszczanie lekcji, setki badań. Wszyscy mówią co innego. Moja mama z racji tego, że jest uparta, nie odpuszczała. W końcu słowa jednego ze specjalistów: Scheuermann. Wystraszona wróciłam do domu z setką skierowań na różne badania, których nawet nie byłam w stanie wymówić. Scheuermann jest to martwica kości kręgosłupa. Gdy nie wykryje się jej dość wcześnie, grozi operacją, a także całkowitą deformacją pleców w postaci garbu.

Ratujący Arab

– Na swojej drodze w walce z chorobą spotkałam wielu lekarzy. Jednak tylko jeden okazał się pomocny. Jest z pochodzenia Arabem, więc ciężko mi się z nim porozumiewało. Jednak to dzięki niemu dziś w miarę normalnie funkcjonuję. Nie pomogły sanatoria, w których byłam ponad dwa miesiące, lecz właśnie on. Gdy trafiłam do niego, od razu skierował mnie do trzebnickiego szpitala, gdzie miał dyżury. Sala numer szesnaste, Oddział Orto-

pedii i Chirurgii Urazowej. Spędziłam tam niecały miesiąc. Ale dzięki niemu uniknęłam operacji. Choroba na jakiś czas się zatrzymała.

Nowa szkoła, stary ból

– Wraz z początkiem pierwszego roku szkolnego w liceum powróciła moja zmora. Znowu opuszczałam zajęcia i miałam wiele zaległości. W szkole brali mnie za lenia. Mało się wtedy uczyłam – większość czasu spędzałam na rehabilitacji i leżeniu, gdy ból był nie do wytrzymania. Jednak nauczyciele nie wiedzieli o moim problemie. Nie pomagały mi już zwykłe „apapy”. Rodzice musieli interweniować w szkole. Miałam zbyt wiele godzin opuszczonych. W grudniu zeszłego roku wyjechałam w trybie pilnym na Oddział Reumatologicznym szpitala na Brochowie. Kolejne podejrzenie: młodzieńcze reumatoidalne zapalenie stawów, zwyrodnienia kręgosłupa w odcinku szyjnym. Tym razem spędziłam tam dwa tygodnie.

Trochę spokoju i...

– Druga klasa liceum. Od grudnia miewałam codziennie bóle, lecz nie takie jak pod koniec listopada tego roku. Zapas tabletek w torebce, kozetka u pielęgniarki szkolnej na przerwach – to już nie pomagało. W pewną środę po lekcjach w drodze do domu zaczęłam się dusić. Było mi słabo, nie mogłam oddychać. Cieszę się, że wracałam wtedy z mamą. Ból w klatce piersiowej i odcinku piersiowym kręgosłupa był okropny. Płakałam z bólu, mdlejąc mamie na ulicy. Wróciłam samochodem do domu z rodzicami i leżałam, czekając, co będzie dalej. Nie mogłam się ruszyć, czułam się jak sparaliżowana. Przez trudności z oddychaniem było coraz gorzej. Zasnęłam.

Wygodne nosze w karetce

– Obudziłam się, gdy stało nade mną trzech ratowników medycznych pogotowia ratunkowego. Patrzyłam zdezorientowana, kiedy przyklepiali mi dziwne kółka do ciała, chcąc zrobić EKG. Byłam zbyt słaba, by protestować, gdy nakłuwali mi palec, aby pobrać krew do badania cukru. Zostałam przewieziona karetką do szpitala na Brochowie. Nie wiele z tego pamiętam, cały czas chciało mi się spać.

Brak limitów, brak wolnych miejsc

– Po przywiezieniu mnie na oddział okazało się, że nie ma miejsc. Ratownicy zaczęli kląć się z lekarzem, gdy ja leżałam na kozetce i płakałam z bólu. Spór dotyczył przewiezienia mnie do oławskiego szpitala. Mamusia nie zgodziła się z powodu późnej pory i braku gwarancji przyjęcia na oddział. W końcu okazało się, że pogotowie miało zakaz jeżdżenia poza granice Wrocławia. Wróciłam do domu z nowymi tabletkami. Mama nie wiedziała, co robić.

„Dzwonią telefony jak co piątek”

– Następny dzień spędziłam w łóżku, mama pomagała mi chodzić. Nie byłam w stanie sama zrobić kroku, ponieważ ból był ogromny. Pojechałam wieczorem na ostry dyżur do szpitala przy Traugutta. Tam spędziłam cztery godziny, aby zrobić kolejne badanie RTG do „mojego portfolio” i dowiedzieć się, że mój przypadek jest za poważny na zwykły oddział ortopedyczny. Mama wykonuje setki telefonów do różnych lekarzy, poradni i szpitali. Wszędzie ta sama odpowiedź: brak miejsc, brak limitów do końca roku. Jeden do zera dla NFZ.



Fot. Paulina Pawlak

Po znajomościach...

dostaję się do jednego z lepszych wrocławskich ortopedów. Wykonuje mi trzy zdjęcia RTG i każe położyć się na brzuchu na kozetce. Nieświadoma tego, co mnie czeka, wykonuję jego polecenia, nabieram powietrza. I nagle trzask. Słyszę swój krzyk, czuję, jak lecą mi z bólu łzy. „To tylko nastawienie kręgow” słyszę jego słowa. Patrę na mamę. Widzę, jak w oczach ma chęć po-

wstrzymania go, aby nie zadawał mi bólu. I jeszcze raz. Wdech, trzask, krzyk, wydech. Mama prowadzi mnie do domu. Wykonuje kolejne tabletki i z ogromnym bólem zasypiam. Po ponadtygodniowym leżeniu w łóżku wracam do szkoły, zastanawiając się, kiedy znów nadejdzie moja zmora w postaci wroga Scheuermann.

NATALIA NOWAK
pawkat5@wp.pl

SZLIF ZAPRASZA: kino | nowe horyzonty

„Hobbit” – Niezwykła podróż

Niedawno w kinach pojawiło się długo oczekiwane dzieło Petera Jacksona, ekranizacja powieści Tolkiena – „Hobbit”. Reżyser stanął przed niezwykle trudnym zadaniem, musiał zadowolić różne grupy widzów, wliczając w to wręcz fanatycznych fanów Śródziemia, a tych w Polsce nie brakuje.

Akcja dzieje się sześćdziesiąt lat przed wydarzeniami z „Władcy Pierścieni”. Przedstawia nam historię Bilbo Bagginsa, spokojnego niziołka, który opuszcza swoje ciepłe mieszkanko i wyrusza na niebezpieczną wyprawę z kompanią Thorina Dębowej Tarczy. Ponownie występuje motyw wędrówki, ale tym razem drużyna zmierza do Samotnej Góry, dawnego królestwa krasnoludów, aktualnie służącego za apartament smokowi Smaugowi. Film jest nie tylko ekranizacją książki, ale prologiem do wydarzeń z „Władcy Pierścieni”. Peter Jackson czepie wątki garściami z innych dzieł Tolkiena między innymi z „Silmarillion”, co zgrabnie

uzupełnia tło historyczne i mitologiczne przedstawionego świata w „Hobbicie”.

Produkcja w wersji kinowej trwa prawie trzy godziny, które są po brzegi wypełnione akcją. Peter niebawem umiejętnie połączył podniosłość utworu z nieco baśniowym humorem. Jest to historia o jasno określonych celach, w trakcie której można się rozpuścić, patrząc na krajobrazy Nowej Zelandii.

Na pochwałę zasługuje obsada aktorska. Ponownie w Śródziemiu widzimy Iana McKellena, Elijaha Wooda, Hugo Weavinga czy Christophera Lee. Zobaczyć można także wiele nowych twarzy, jak choćby grającego Bilbo

Bagginsa Martina Freemana, czy wcielającego się w postać Thorina Dębowej Tarczy Richarda Armitage.

Ten, kto nigdy nie czytał „Hobbita”, będzie dalej powtarzał po innych ignorancjach, że jest dla wyrośniętych dzieci. A przecież trzeba pamiętać, że to właśnie ta książka poprzedzała arcydzieło Tolkiena. Gdyby nie jego „powieść dla dzieci”, nigdy nie mielibyśmy w rękach „Władcy Pierścieni”. „Hobbit – Niezwykła Podróż” jest zdecydowanie godnym filmem poprzedzającym trylogię i pozycją obowiązkową dla fanów dobrego kina.

DAMIAN FABICH
damfab@op.pl



Sportowa szlifierka

Zaczął się w latach pięćdziesiątych XX wieku. Kilku nurków znudziło się zwyczajnym pływaniem pod wodą. Wzięli puszkę, kijki, ustawili jakieś bramki i tak zaczęła się nowa gra – hokej pod wodą.

We Wrocławiu ten sport pojawił się trzy lata temu. Kiedy to Maciej Marszałek – były zawodnik francuskiej ligi, obecnie kapitan „Hydry” – pokazał ten rodzaj gry wrocławskiemu zawodnikowi z klubu Pirania.

– Nie trzeba wielkich umiejętności ani dwóch metrów wysokości czy pięknie wyrzeźbionej sylwetki. W hokeju podwodnym może zagrać każdy – tłumaczy Tomasz Rossa z klubu Pirania. – Nie potrzeba specjalnych diet ani tysiąca godzin spędzonych na siłowni. Liczy się przede wszystkim umiejętność pływania.

Hokej pod wodą wymaga głównie dużej zwinności, ale także siły. Nie jest łatwo wbić do bramki krążek ważący półtora kilograma przy pomocy trzydziestocentymetrowego kijka. Ama-

Stado rybek

Nabierasz powietrza i nurkujesz dwa i pół metra pod wodę. Na głowie masz specjalną czapkę z ochraniaczami na uszy, maskę na oczy, płetwy na stopach, a na prawej dłoni rękawiczkę. Do ust wkładasz fajkę. Łapiesz kijek i... już prawie jesteś gotowy do gry!



Fot. Marcin Reif

tor jest w stanie wybić go na odległość jednego metra, bardziej doświadczony gracz może wyrzucić go na około trzy.

– Drużyna liczy dziesięciu zawodników, sześciu gra w wodzie, a pozostali to rezerwa. Hokeistów rozróżnia się po kolorze czapki oraz kijka – mówi Marcin Reif, kapitan drużyny Piranii.

Każdy zespół musi mieć przygotowane dwa kolory strojów. Najczęściej białe i niebieskie.

W hokeju pod wodą również są faule.

– Jeśli ktoś nie ma krążka, a zaatakuje przeciwnika, może zostać wyłączony z gry na dwie minuty – tłumaczy Tomasz.

W Polsce hokej pod wodą zyskuje coraz więcej zwolenni-

ków. Istnieje już siedem drużyn. W samym Wrocławiu są dwa kluby uprawiające tę dyscyplinę sportu. Spotykają się one na zawodach. W styczniu 2013 roku odbył się turniej w Gdańsku, a w czerwcu będzie w Trzebnicy. Organizuje się również mistrzostwa świata w tej dziedzinie sportu.

– Na międzynarodowych zawodach panują trochę inne zasady. Przede wszystkim basen musi mieć określone wymiary. Minimum dwa i pół metra głębokości i dwadzieścia pięć metrów długości. Mecze trwają wtedy trzydzieści minut, a nie dziesięć, jak w przypadku turniejów niższej rangi – tłumaczy Marcin Reif.

Jak przyznają zawodnicy z klubu Pirania, hokej podwodny nadal spotyka się z wielkim zdziwieniem i zaskoczeniem.

– Kiedy mówię, że gram w hokeja pod wodą, ludzie patrzą na mnie jak na wariata. Nie wiedzą, że w ogóle istnieje taki sport – opowiada Tomasz Rossa.

KAROLINA MARCHEWKA
smilq@gmail.com

Felieton Szlifu

Jakie życie byłoby piękne, gdyby... (w miejsce kropek wpisać własne propozycje).

Lubię czasami pogdybać, jakby tu uszczęśliwić ludzi. Wszystkich. Niech stracę, niech mają. Biedni, tyle w życiu muszą zrobić. Wybrać szkołę, partnera, operatora telefonicznego. Oferty, zachęty, zanęcanie i podjudzanie. Głowa pracuje cały czas. Ani chwili tak zwanej ciszy ani nieświątecznego choćby spokoju.

Jakby tego było mało, tyle machin non stop trzeba ogarnąć. Telefony, mp3, tablety. Bez nich nieswojo i niekomfortowo. Pralki, żelazka i tym podobne oszczędzające czasu – honorowi mieszkańcy domów

Czas... Pytam, gdzie on mi ucieka? Eh, mogłabym napisać, że przepływa jak papierosowy dym między palcami, ale przecież papierosy też są elektroniczne. Nie trzeba spieszyć się, że zgasną.

Nie musisz wychodzić z domu, żeby wysłać list, zrobić zakupy, sprawdzić kinowy repertuar. Nie musisz zbiegać do sąsiada z pyta-

nie, czy ma odrobinę kawy; własnie napisał na Facebooku, że się skończyła. Przeglądasz dalej jego posty. Chciałeś kawę, kawy nie ma, a ty niby masz czas. Nie wiem, co wtedy robisz. Mam nadzieję, że nie jesteś statystycznym Polakiem i czytasz więcej niż jedną czwartą książki rocznie.

Pączki w maśle

Co do tych smutnych stwierdzeń mają tytułowe pączki? Kuszące, ociekające tłuszczem z wrzącą marmoladą? Otóż ich zapach z mózgu robi wodę, człowiek mógłby jeść i jeść, i tyć, i nie martwić się niczym.

Stodczyce i dobre jedzenie poprawiają humor – to oczywiste. Są szczęściem namacalnym. Pytam, na przykładzie pączków budyniowo-różanych: co robić, żeby

czuć się dobrze? Jak mieć czas, przyjaciół, ukończone kursy, zaliczone imprezy i spokój ducha, że dzień należycie został wykorzystany. Każde zadanie zrealizowane. Jak?!

O, pomysł pierwszy. Wehikuł czasu. Może przenieść się do starożytnej Grecji, gdzie oprócz odkrywania prymitywnych udogodnień, w zawrotnym tempie rodziła się nauka i filozofia? Gdzie teatr uważany był za centrum życia polityczno-społecznego. Gdzie porządkiem dnia i nocy rządzą reżymolimpijczy, a nie budziki i kalendarze...

Pomysł numer dwa. Lata młodości mojej mamy, czyli jakieś dwadzieścia pięć lat wstecz. Kochanek pisały listy na kilkanaście kartek, słał suszone tulipany, rysując na nich daty spotkań. Kilka godzin dziennie sterczenia pod radioodbiornikiem, aby usły-

szę jedną piosenkę; zdani na los, a nuż się trafi. No i w zimowe popołudnia stopy książek i tomiska poezji. Z gorącą czekoladą i ręką w misce pączków.

Cóż. Mamy za dobrze, za dużo, za tłusto. Może jest jakieś miejsce na mapie, gdzie najwyższymi wartościami są biblijne wiara, nadzieja i miłość. Jakież dzikie grotty, w których nie ma hipsterów, kozaków i innych „fantastycznych”.

Może gdzieś w szkołach uciekanie w Dzień Wagarowicza nie urasta do rangi antycznej tragedii...

Trzeba odgrzebać jakiś przepis, jak smakować życie. Wyjąć ze strychów babcię fartuchy i szukać. Bo obecne wykonania są słabe, obojętnie próbować ich nie chcą. Na sam widok robi mi się niedobrze.

MARLENA DUMIN
marlena.dumin@gmail.com

Wszeczną odwiedzić

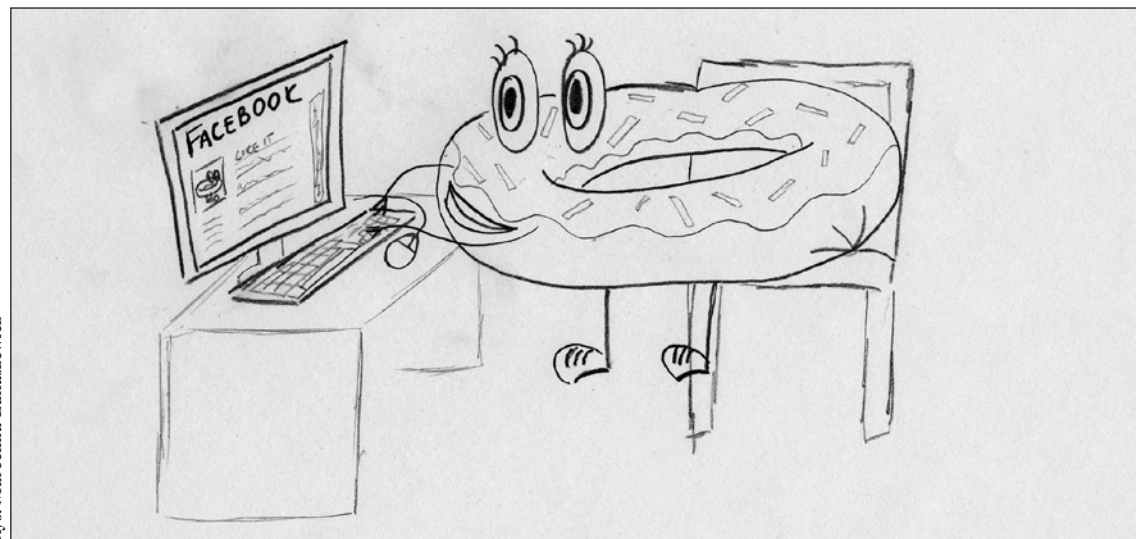
Młodzieżowa Wszeczniczna Dziennikarska pomaga młodym adeptom sztuki pisania zdobywać wiedzę i umiejętności niezbędne do wejścia w dorosłe, dziennikarskie życie. Dzięki niej mają oni, co piątek, możliwość spotkań z politykami, aktorami, duchownymi, dziennikarzami oraz innymi ciekawymi mieszkańcami naszego miasta.

4 stycznia Młodzieżową Wszeczną Dziennikarską odwiedził Wiesław Gałazka – wykładowca na wydziale dziennikarstwa, komentator polityczny i ekspert od kształtowania sylwetek polityków. Podczas spotkania młodzi dziennikarze dyskutowali z gościem o wiarygodności mediów w dzisiejszych czasach, braku obiektywności i ogólnej manipulacji. Pogłębili także wiedzę na temat rywalizacji między dziennikarzami w Polsce.

10 stycznia klasy dziennikarskie gościły Andrzeja Rozenka – rzecznika prasowego Ruchu Palikota oraz Wincenego Elsnera, polityka RP. Po słowie przedstawił nam cele swojej partii oraz opowiedział o inicjatywach przez nią podej-

mowanych. Apelowali o tolerancję polityczną, wyznaniową, a w szczególności dla odmiennej orientacji seksualnej. Członkowie MWD przekonali się, jak wiele jest korzyści wynikających z legalizacji marihuany.

11 stycznia bieżącego roku Młodzieżową Wszeczną Dziennikarską odwiedził Michał Jaros, poseł Platformy Obywatelskiej. Gość opowiedział nam o swoich początkach w polityce, studiach, a także pierwszej pracy. Adepti sztuki dziennikarskiej pytali o ostatnie poczynania rządu, katastrofę smoleńską czy kontrowersyjną wypowiedź posła podczas debaty „Marihuana – zalegalizować czy nie?”, organizowanej przez MWD.



Rys. Marcelina Łukasiewicz

Szlif

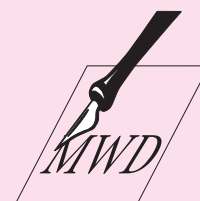
Miesięcznik Młodzieżowej Wszeczniczy Dziennikarskiej
Adres redakcji: ul. Haukego-Bosaka 33, 50-447 Wrocław;
www.lo13.wroc.pl; szlif13@gmail.com

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji i skracania tekstów oraz zmiany tytułów. Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wydaje Młodzieżowa Wszeczniczna Dziennikarska działająca przy XIII LO we Wrocławiu

Opiekun: Wojciech Chądzyński
Przewodniczący MWD: Sebastian Przybylak
Redaktor naczelna: Karolina Marchewka
Z-ca red. naczelnej: Marta Hejmanowska
Szefowa fotoreporterów: Agata Wszedybył
Sekretarz redakcji: Damian Fabich
Przygotowanie do druku: I-BIS Usługi komputerowe. Wydawnictwo s.c.
tel. 71 342 25 17, www.i-bis.com.pl

Miesięcznik redagują członkowie Młodzieżowej Wszeczniczy Dziennikarskiej



Młodzieżowa Wszeczniczna Dziennikarska organizuje cykliczne spotkania z dziennikarzami, politykami, aktorami i przedstawicielami innych ciekawych zawodów dla wszystkich entuzjastów sztuki dziennikarskiej. Chętnych zapraszamy w każdy piątek o godz. 15.30 do XIII LO przy ul. Haukego-Bosaka 33.